

Ukraińskie drony aż po Ural, żołnierze UPA na sztandarach.
Z polskim papieżem i autorem „Mistrza i Małgorzaty” na horyzoncie.

Bułhakow może się jeszcze Ukraińcom przydać

GRZEGORZ PRZEBINDA

Piszę ten tekst 10 czerwca – wojna Rosji przeciwko Ukrainie, rozpoczęta 24 lutego 2022 r., trwa już całe 1568 dni, a to oznacza, że od jej początku upłynęło dokładnie tyle samo czasu, ile pomiędzy wybuchem Wielkiej Wojny 28 lipca 1914 r. a zawieszeniem broni na froncie zachodnim, podpisanym w Compiègne 11 listopada 1918 r. Innymi słowy, obecna wojna Rosji przeciwko Ukrainie osiągnęła dziś niebotyczny (a raczej piekielny) pułap całej pierwszej wojny światowej.

Gdy 11 stycznia tego roku zacząłem spisywać ten antywojenny dziennik (tekst jest fragmentem dziennika „Umarli nie piszą historii”, przeredagowanym przez autora na potrzeby publikacji w „Plusie Minusie” – red.), wojna obecna trwała tyle samo dni, ile Wielka Wojna Ojczyzniana, to jest walka Związku Radzieckiego z III Rzeszą od 22 czerwca 1941 do 9 maja 1945 r. To zrównanie wydawało się pięć miesięcy temu najbardziej ponurym symbolem, tyle że dziś mamy do czynienia z faktem jeszcze bardziej przynębiającym – mimo że wojna ta trwa już tak długo, jak cała pierwsza światowa, jej koniec wcale nie majaczy jeszcze nawet za najbardziej krwawym horyzontem. I dziś wszyscy musimy zadać sobie kolejne fundamentalne pytanie: czy zakończy się ona przed 10 marca 2028 r. – dniem, w którym zrównałaby się – oby nie! – z całą drugą wojną światową w Europie, poczynając od napaści Niemiec na Polskę 1 września 1939 r. do podpisania aktu bezwarunkowej kapitulacji w Berlinie 8 maja 1945 r. No i pamiętajmy, że 17 września 1939 r. była także napaść stalinowskiego ZSRR – w sojuszu z hitlerowską Trzecią Rzeszą – na II Rzeczpospolitą, co obecna propaganda w putinowskiej Rosji niezmiennie przedstawia jako „akt wyzwolenia Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy”.

Bezlitosna arytmetyka frontu

Aco do obecnej sytuacji na froncie, to według analiz amerykańskiego Instytutu Studiów nad Wojną (ISW – istniejącego od 2007 r. waszyngtońskiego think tanku specjalizującego się w analizie konfliktów zbrojnych), w ciągu ostatnich 12 miesięcy Rosja zdobyła „netto” – czyli po odjęciu wszystkich odbitych w ukraińskich kontrataczach obszarów – około 1427 mil kwadratów (bliższe 3700 km kw.) terytorium Ukrainy. To nawet nie tyle – jak podkreśla ISW – ile wynosi powierzchnia najmniejszego amerykańskiego stanu Rhode Island, a zaledwie 0,6 proc. terytorium całej Ukrainy.

Szacuje się przy tym jeszcze bardziej ogólnie, że Rosja poniosła w ciągu czterech pierwszych lat inwazji 1,2 mln strat wojskowych – zabitych, rannych i zaginionych – zdobywając w tym czasie około 75 tys. km kw. terytorium Ukrainy. Bezlitosna

arytmetyka daje wynik: 16 zabitych, rannych lub zaginionych żołnierzy za każdy zdobyty kilometr kwadratowy – za kwadrat o boku jednego kilometra, za kilka pól lub skrawek nieznanej nikomu, prócz przerażonych śmiertelnie mieszkańców, ukraińskiej wsi.

Tegoroczne, bardzo głośne także u nas Petersburskie Międzynarodowe Forum Ekonomiczne (SPIEF) było już piątym takim w czasie trwania tej wojny, ale pierwszym, które rozpoczęło się – 3 czerwca – dokładnie w dniu ukraińskiego uderzenia dronów w petersburski terminal naftowy – największy rosyjski kompleks przeładunku ropy nad Bałtykiem, zaledwie 16 km od miejsca obrad. I tak samo się zakończyło: 6 czerwca Petersburg padł ofiarą ataków z największych ataków dronów od początku całej wojny, co odbiło się echem dosłownie na całym świecie – od Waszyngtonu po wietnamskie portale rządowe...

Ba, jeden z takich wietnamskich portali, publikujący także po polsku, zamieścił nawet dwa zdjęcia: czarne niebo nad Petersburgiem i obojętne przechodniów na ulicach, którzy nawet nie patrzą w górę – niczym prosi bohaterowie z amerykańskiego filmu „Nie patrz w górę” („Don't Look Up”) z 2021 r., opowiadającego o katastrofie zmierzającej w stronę Ziemi komety, którą społeczeństwo i politycy ignorują, wołając po prostu nie patrzeć w niebo. Przy czym ów wietnamski portal – wyraźnie widać sprzyjający „napadniętej przez Ukrainę Rosji” – z satysfakcją oznajmił urbi et orbi, że „Rosja odparła zakrojony aż po szeroką skalę atak dronów na Sankt Petersburg”.

Nowa geografia i krymska rzeczywistość

Jeszcze ćwierć wieku temu wielu europejskich polityków, intelektualistów i ludzi Kościoła wierzyło jednak, że Rosja może stopniowo stać się częścią wspólnej europejskiej przestrzeni politycznej i kulturowej. Dzisiaj, gdy wojna dociera już od Morza Czarnego aż po Ural, tamte nadzieje brzmią jak echo odległej epoki.

Sam miałem niepowtarzalną okazję uczestniczyć 30 lipca 2000 r. w kolacji z polskim papieżem w Castel Gandolfo dzięki mojemu krajanowi z podkrakowskich Wołowic – księdzu profesorowi Tadeuszowi Stycznowi, pisząc wtedy książkę „Większa Europa. Papież wobec Rosji i Ukrainy” (publ. 2001). Jan Paweł II wyraźnie dawał mi wtedy do zrozumienia, że pokłada nadzieję nawet w nowym prezydencie Rosji Putinie, który odwiedził go w Watykanie 5 czerwca 2000 r. – i wyrażał potem ogromną dumę z faktu, że ówczesny gospodarz Watykanu jest Polakiem, to jest w szerszym sensie Słowianinem.

Po raz drugi Putin odwiedził Jana Pawła II 5 listopada 2003 r. Ta trwająca ponad 40 minut audycja upłynęła pod znakiem

trudnego dialogu między Kościołem katolickim a prawosławiem. Choć rosyjski prezydent, dbając o relacje z Cerkwią, ponownie nie zdecydował się na oficjalne zaproszenie papieża do Rosji – co było przecież wielkim marzeniem Karola Wojtyły – spotkanie to miało głęboki wymiar symboliczny. Jan Paweł II powitał Putina w języku rosyjskim, a z jego inicjatywy do sali wniesiono czczoną przez prawosławnych Ikonę Matki Bożej Kazańskiej. Cudowny ten wizerunek, przechowywany przez lata w prywatnych apartamentach papieskich, stał się głównym tematem rozmów o zbliżeniu obu Kościołów i ostatecznie, rok później, został przez Watykan uroczystie zwrócony Rosji.

A przecież tym bardziej za Gorbaczowa, a zwłaszcza za Jelcyna, wielu ludzi dobrej woli, z Janem Pawłem II na czele, żywiło nadzieję na trwałe wciągnięcie Rosji w orbitę europejskiej cywilizacji politycznej, kulturowej i religijnej, chętnie przywołując przy tym wizję Europy „od Atlantyku aż po Ural”. Dzisiaj jednak owo słynne geograficzne hasło przywołuje zupełnie inne skojarzenia, skoro ukraińskie drony potrafią dolatywać aż do Jekaterynburga położonego na wschodnich stokach Uralu, a więc do miasta, które w dawnych wyobrażeniach miało wyznaczać symboliczną granicę europejskiej wspólnoty.

Jeśli zaś spojrzeć na europejską część Rosji w układzie południkowym, od wybrzeży Morza Czarnego aż po Bałtyk, to i tutaj wojna zdaje się wyznaczać nową geografię, obejmując swoim zasięgiem przestrzeń rozciągającą się od Tuapse na południu aż po okolice Petersburga na północy, czyli niemal cały obszar, który jeszcze niedawno wielu politykom i intelektualistom wydawał się naturalnym kandydatem do stopniowego zbliżenia Rosji z Europą.

Tymczasem anektowany Krym znajduje się dziś pod nieustanną presją ukraińskich dronów. Uderzają one nie tylko w cele wojskowe na półwyspie, lecz także w jego najważniejsze połączenie lądowe z Rosją – autostradę „Noworosja” biegnącą z Rostowa nad Donem przez okupowane terytoria. Na tej trasie ukraińskie drony zniszczyły już co najmniej 150 pojazdów, a stacje benzynowe ograniczyły sprzedaż do zaledwie 20 litrów na kierowcy. Korytarz lądowy wygląda jak pas zniszczeń: spalone ciężarówki, uszkodzony sprzęt, porzucone pojazdy.

Krym słynął zawsze z turystyki, ale nigdy nie był samowystarczalny – nie ma nawet własnej wody pitnej. Jak wynika z nagrania wideo zarejestrowanego w supermarkiecie „Dobrostrój” (sic!) w Sewastopolu na Krymie, klientom pozwala się kupić jednorazowo nie więcej niż trzy butelki oleju roślinnego i tyle samo paczek makaronu. W lokalnych czatach na Telegramie ludzie skarżą się, że ze sklepów zniknęły cukier, kasza gryczana, ryż, mąka i sól. Na profilu „Podsluchano w Sewastopolu” opublikowano nagranie ze sklepu, w którym tabliczka informuje o limicie zakupu do 3 kg cukru, kaszy gryczanej i ryżu na jedną osobę, tyle że

półki świecą już niemal absolutną próżnią. Jedna z mieszkank Sewastopola napisała w internecie: „Myślałam, że to żart. Poszłam do sklepu niedaleko domu. Nie ma cukru, nie ma kaszy gryczanej. Poszłam do innych sklepów, ciągle ta sama historia”.

Spór o pomniki i trudna pamięć

Ukraiński Instytut Pamięci Narodowej usunął niedawno – moim zdaniem niezwykle pochopnie – pomnik Michaiła Bułhakowa, który od 19 października 2007 r. stał przed jego kijowskim domem-muzeum. Wszystko to dzieje się w ramach tzw. derusyfikacji, polegającej na zastępowaniu rosyjskich i radzieckich patronów ukraińskimi. Przy podobnych okazjach często słyszę argument, że „napadnięci zawsze mają rację”. Ale czy rzeczywiście? Bywałem w tym muzeum wielokrotnie i na szczęście uwieczniłem go przezornie i zapobiegawczo w październiku 2018 r.

Trudno również kryć niepokój wobec faktu, że prezydent Wołodymyr Zełenski uhonorował niedawno UPA, nadając jednej z jednostek Sił Zbrojnych Ukrainy imię tej formacji. Przecież nie tylko mój sprzeciw budzi fakt, że w ramach procesów derusyfikacyjnych, w październiku 2022 r. choćby w Kowlu na Wołyniu, ulica Jurija Gagarina zyskała nowego patrona – Kłyma Sawura (Dmytra Kłaczkiwskiego). To pierwszy dowódca UPA na Wołyniu i jeden z głównych zbrodniarzy bezpośrednio odpowiedzialnych za rzeź wołyńską, czyli ludobójstwo dokonane na ludności polskiej. Fakt, że zginął w lutym 1945 r. w obławie NKWD, w najmniejszym stopniu nie czyni zeń bohatera. Nie zmienia tego nawet niedawna szokująca wypowiedź polskiego wiceministra nauki i szkolnictwa wyższego Andrzeja Szeptyckiego, który porównał członków UPA do polskich żołnierzy niezłomnych. No, chyba że nasz odpowiedzialny za naukę i szkolnictwo wyższe wiceminister miał na myśli akurat Romualda Rajsa „Burego”, odpowiedzialnego za krwawe pacyfikacje białoruskich wsi na Podlasiu w 1946 r.

Powrót Behemota

Tymczasem sam Bułhakow może się jeszcze Ukraińcom przydać. Choć z głęboką nieufnością patrzył na ukraiński ruch narodowy po 1918 r., postrzegając go mało proroczo jedynie jako odmianę ówczesnego ludowego populizmu czy nacjonalizmu, ironia losu sprawiła, że jeden z najnowszych ukraińskich dronów bojowych określony został jako Behemot. To imię potężnego, apokaliptycznego potwora z opisywanych w Księdze Henocha wizji, którego Bułhakow przekornie zamknął w skórze tłustego, czarnego kota ze swojego arcydzieła, dziś znów powraca do swojej niszczylińskiej, pierwotnej natury.

Przypomina mi to jeszcze początek arcydzieła, gdy Woland na ławce przy Patriarszym Prudach zapowiadał swoim rozmówcom „bardzo ciekawą historię” – tuż przed tym, jak Berlioz stracił głowę pod kołami tramwaju. Myślę jednak, że nawet Woland nie byłby w stanie przewidzieć tak makabrycznie „ciekawych historii”, jakie każdego dnia przynosi ta straszliwa wojna. /©©

Prof. dr hab. Grzegorz Przebinda – filolog rusycysta, historyk idei, tłumacz. Publikuje książki o Rosji, Ukrainie i Białorusi. Przetłumaczył, wraz z żoną i synem, „Mistrza i Małgorzaty”